

KAZIMIERZ, WŁADYSŁAW I STANISŁAW RODOWICZOWIE

MARCIN LUDWICKI

NIEZATAPIALNI I ŁÓDŹ PODWODNA



NIEZATAPIALNI

I ŁÓDŹ PODWODNA

[Kup książkę](#)

NIEZATAPIALNI I ŁÓDŹ PODWODNA

STANISŁAW, KAZIMIERZ
I WŁADYSŁAW RODOWICZOWIE

MARCIN LUDWICKI

FRONDA

[Kup książkę](#)

Projekt okładki
Monika Lipiec

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Korekta i redakcja
Martyna Pośluszna, Barbara Manińska

Skład i łamanie
Honorata Kozon

Zdjęcia i reprodukcje fotografii archiwalnych
Alicja Marchewicz

ISBN 978-83-8079-130-5

© Copyright by Marcin Ludwicki
© Copyright for Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca wyraża podziękowanie rodzinom bohaterów niniejszej książki za wszechstronną pomoc przy realizacji projektu i udostępnienie materiału ilustracyjnego. Słowa podziękowania za życzliwe wsparcie projektu kierujemy szczególnie do Pań: Wandy i Małgorzaty Rodowicz, oraz Panów: Jana, Wojciecha i Macieja Rodowiczów.

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
Ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: kontakt@wydawnictwofrona.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

SPIIS TREŚCI

Podziękowania	9
Dom	10
Cytadela, dziewiąta rano	11
Teodor i Stanisława	14
Serebryńce	17
W Kijowie	21
Rewolucja i wojna	25
Odcięty	30
Żoliborz	32
Stabilizacja	35
Sparta	38
Z Żoliborza do Wenezueli	40
Kazimierz	41
Krystyna	44
Wojtek	45
Rodzice	50
Ciotka Irena	54
Pierwsze sygnały	61
Krzyżówka	64

Hektor Leon	66
Pani Czesława	74
Przyjaciółka matki	78
Echa	90
Coraz bliżej	94
Francja	98
El Mojan	103
Feliks Żubr	105
Grób ojca	108
Rodzeństwo	111
Łódź podwodna i kamera	120
Stanisław	121
Krystyna	123
Przy Kopernika 33	127
Ślub	131
Wrzesień	132
Jesień	136
Radiostacje	141
Łódź Podwodna	147
Obława	154
Radiostacje ruchome	159
Gastronomia	166
Odolańska	169
Strażak	172
Jeszcze Odolańska	175
Znów na Fortecznej	181

Powstanie	189
Exodus	195
Wyjście z „Łodzi Podwodnej”	199
Czołówka Filmowa	216
Kto tego nie widział...	220
Władysław	221
Anulka	230
Najcięższa próba	234
Łódź	235
Pierwsze aresztowanie	240
Drugie aresztowanie	249
Wyrok	254
Widzenia	260
Szantaż	269
BAK	271
Wanduś moja!	278
Festiwal Młodzieży	283
Wolność	285
Piotr	292
 Dodatek nr 1	 295
Dodatek nr 2	298
 Bibliografia	 304

PODZIĘKOWANIA

Książka opowiada dzieje trzech braci Rodowiczów: Kazimierza, Stanisława i Władysława. Ostatniemu z nich, najmłodszemu, poświęciłem stosunkowo najmniej miejsca. Dwaj starsi nie pozostawili wspomnień. Władysław opisał swoje w dwóch tomach: w „Tryptyku rodzinnym” (Warszawa 1999) oraz w „Niepoprawnym optymizmie” (Włocławek 2005). Chciałem zatem wypełnić lukę, uzupełnić historię jednego brata opowieścią o dziejach dwóch pozostałych.

Książka nie mogłaby powstać, gdyby nie uprzejmość dzieci bohaterów, które zechciały podzielić się ze mną swoimi wspomnieniami.

Pragnę zatem wyrazić wdzięczność córkom Stanisława, paniom Wandzie, Małgorzacie i Joannie oraz synom Władysława, panom Janowi i Piotrowi.

W sposób szczególny chcę podziękować synowi Kazimierza Rodowicza, panu Wojciechowi, który łaskawie udostępnił mi niezwykle obszerną i drobiazgową, spisowaną przez kilkanaście lat kronikę poszukiwań informacji o losach swoich Rodziców. Głównie na jej podstawie powstała część poświęcona Kazimierzowi i jego żonie Krystynie.

Dom

CYTADELA, DZIEWIĄTA RANO

Wbrew prognozom pogody sobotni poranek 13 października 1923 roku zapowiadał dzień dość ciepły i słoneczny. Tuż przed godziną dziewiątą babcia Stanisława zabrała się za ścielenie łóżka w pokoju z oknem wychodzącym na Cytadelę. Jej najmłodszy wnuk, siedmioletni Władek, bawił się przy stole w salonie. Obserwował, jak po ścianach i podłodze pełga ciepłóżółte, ładne październikowe światło. Poza nim i babcią w domu nie było nikogo. Jego starsi bracia, Staś i Kazik, już dawno wyszli z domu. Musieli zdążyć na rozpoczynające się o godz. 9 w kościele ss. Wizytek na Krakowskim Przedmieściu nabożeństwo otwierające uroczyste obchody sto pięćdziesiątej rocznicy ustanowienia Komisji Edukacji Narodowej i śmierci Stanisława Konarskiego. Tata Władka, Stanisław, też już dawno pojechał do pracy.

Na terenie Cytadeli, kilkaset metrów od domu przy ulicy Fortecznej 4, w którym babcia zaczęła właśnie ścielić łóżko, por. Bakierowski prowadził na placu przy prochowni centralnego składu amunicji ćwiczenia 21 Pułku Piechoty. Kątem oka dostrzegł dobywające się zza wału smużki dymu. Zdążył krzyknąć do żołnierzy, żeby uciekali. Udało się im przebiec sto metrów.

Punktualnie o godzinie dziewiątej budynek amunicyjny i dużą część zabudowań Cytadeli unicestwiła eks-

plozja czterdziestu wagonów prochu włoskiego najlepszego gatunku. Z daleka nad twierdzą najpierw dostrzeżono błysk i wzbijającą się ku niebu czarną, gęstą chmurę dymu. Chwilę później Warszawą wstrząsnął potężny huk, za którym przyszła silna fala uderzeniowa.

Wyrzucone wraz z framugą okno roztrzaskało się na pochyłającej się nad łóżkiem babci. Rozbite szyby rozprysły się po podłodze, większe kawałki wbiły się na sztorc w ściany. Podmuch cisnął Władka pod stół na wrzynające się w ciało szklane okruchy, na szczęście kawałki szkła z rozbitych na nosie okularów nie uszkodziły mu oczu.

Fala uderzeniowa pędziła przez Warszawę. „Wybuch poczynił ogromne straty we wszystkich niemal punktach miasta. Wielkie szyby lustrzane w oknach wystawowych zostały wypchnięte z ram i potrzaskane na drobne kawałki. Pęd i wiry powietrzne rozeszły się i były bardzo kapryśne. W jednych domach powylały szyby od frontu, w innych oficynach tylko częściowo, w jednym sklepie szyby wystawowe runęły, w sąsiednim zaś ocalały. (...)”

Wieczorem dziwny widok przedstawiały pryncypalne ulice stolicy. Wiele okien wystawowych zabito prowizorycznymi deskami, inne okratowano. Przed niektórymi oknami wystawowymi czuwają specjalnie wynajęci stróże nocni” – donosił po wybuchu „Ilustrowany Kurier Codzienny”. Fala po eksplozji dotarła do Rembertowa, Milanówka, Otwocka, Radzymina, Wilanowa, Piaseczna, Skierniewic i Żyrardowa. „Z Mińska Mazowieckiego telefonowano do redakcji, zapytując, czy w Warszawie nie nastąpiło trzęsienie ziemi”.

W kościele ss. Wizytek rozpoczynała się właśnie Msza św., kiedy na posadzkę z hukiem wypadło okno od strony Cytadeli. Przestraszeni uczniowie wybiegli na ulicę. Staś i Kazik, widząc słup dymu unoszący się nad Żoliborzem, wystraszeni pognali do domu ulicami zasypianymi odłamkami szkła i tynku. Mijały ich pędzące na północ miasta karetki pogotowia, samochody policji i straży ogniowej. Na Fortecznej zastali zniszczone sprzęty, potłuczone szyby, walające się po posesji dachówki, powyłamywane krokwie, tynk zdarty z sufitów i ścian, książki wyrzucone siłą podmuchu do ogrodu, zakrwawione ręczniki w miednicach. Przestraszeni stwierdzili, że w domu nie ma ani babci, ani Władka. Pobiegli do znajomych na ulicę Śmiałą – myśleli, że może oboje schronili się u nich. Nie zastali ich jednak. Solidnie już przerażeni wrócili na Forteczną. Po ruinach domu krzątał się tata. Ulżyło im. Wrócił właśnie ze szpitala, do którego odwiózł babcię i Władka. Rozbita szyba poraniła jej głowę i porozcinała powiekę lewego oka, na którą założono cztery szwy. Władkowi wyciągnięto z ciała kilkadziesiąt kawałków szkła.

„Kolonja oficerska na Żoliborzu wzniesiona z trudem przez kooperatywę rodzin oficerskich, ucierpiała dotkliwie wskutek katastrofy. Kompleks domów mieszkalnych, zbudowanych oszczędnie, ale z wdziękiem, a nawet w pewnej mierze z komfortem, jest już częściowo zamieszkały, częściowo znajduje się w stadium pośpiesznego wykończenia. Miała to być zaciszna przystań dla wielu rodzin pracującej inteligencji, które dotychczas przechodziły udrękę bezdomności. (...). Eksplozja jednak uderzyła z taką siłą w Żoliborz, że większość

domów nie nadaje się do zamieszkania. (...). Dla rodzin, które tu zamieszkały lub miały niebawem znaleźć dach nad głową, jest to klęska niepomiarna” – relacjonował dzień po wybuchu „Kurier Warszawski”.

Klęska ta dotknęła także dom przy ulicy Fortecznej 4 i mieszkającą w nim rodzinę Rodowiczów. „Dom był tak zrujnowany, że ja tylko sam zostałem na gruzach. Rzeczy zwieziono do dwóch pokoi, a okna i drzwi zatarasowałem kołdrami i dywanami. Musiałem dach kryć, by uniknąć zmożenia pozostałych sufitów, dalej szklić itd. Dziś jeszcze mieścimy się w dwóch tylko pokojach z pojedynczymi oknami. Mamy nadzieję, że za parę tygodni będzie już lepiej, gdy nowe tynki wyschną, a piec zrzucony na nowo postawię. – Cały tydzień pracy nad uprzątnięciem i rekonstrukcją po wyczerpaniu poprzednim zwały mnie z nóg i przeleżałem 4 dni” – pisał w liście do przyjaciół Stanisław Rodowicz, właściciel domu, syn babci Stanisławy, tata Staszka, Kazika i Władka.

TEODOR I STANISŁAWA

Sezon letni 1881 roku zaczął się w Libawie nienadzwyczajnie. Rok, dwa lata wcześniej „gości kąpielowych” zjeżdżało do kurortu nawet do dwóch tysięcy. Teraz w tym pustawym na początku lipca kurlandzkim porcie zrobiło się nieco gwarniej i weselej dopiero w drugiej połowie miesiąca, kiedy i morze stało się nieco cieplejsze. Przyjechało jednak nie więcej niż

jakieś siedemset osób. Polaków w tej liczbie było stu kilkudziesięciu, głównie oczywiście z Litwy. Jak zawsze znaczną ich część stanowiły panie, wyróżniające się spośród innych gości kurortu elegancją i wdziękiem. Towarzystwo zatrzymywało się w gustownych willach otoczonych pięknymi klombami, cieszącymi oko różnaitością kształtów i obfitością kwiatów i krzewów. Dla zaczerpnięcia zdrowego powietrza nieliczni w tym roku przybysze opuszczali zaciszne wille, mijali duży, porządnie utrzymany skwer, a po nim „kąpiele” damskie i męskie i przechadzali się wytwornie wzdłuż wybrzeża. Choć codziennie po południu i wieczorem w kurhauzie przygrywała wcale niezła, szesnastoosobowa orkiestra, choć odbywały się tam wieczory tańcujące i co jakiś czas koncerty przyjezdnych artystów, a nawet iluminacje, wakacyjna atmosfera Libawy była w tym roku nieco senna.

W tejże wakacyjnej i nieco sennej atmosferze Libawy dnia 25 lipca 1881 roku odbył się ślub Teodora Jerzego Rodowicza ze Stanisławą Rymkiewiczówną. On miał lat trzydzieści osiem, ona dwadzieścia cztery (ona – to właśnie babcia Stanisława stojąca niedaleko okna feralnego dnia 13 października 1923 r.).

Poznali się, kiedy Teodor przyjechał do Libawy odpocząć i zażyć morskich kąpiel. Pochodził z Litwy, ale mieszkał i pracował w Serebryńcach na Podolu, gdzie był współwłaścicielem fabryki chemicznej. Miał dziewiętnaście lat, kiedy wybuchło powstanie styczniowe. Porzucił szkołę i wstąpił do słynnej na Żmudzi partii księdza Antoniego Mackiewicza, swojego przyrodniego stryja. (Adiutantem księdza był zresztą starszy brat

Teodora, Julian). Nie wiadomo, jak długo walczył w oddziale i kiedy zachorował na tyle poważnie, że nie był w stanie znieść trudów ciągłej niemal ucieczki przed wojskami rosyjskimi. Nie miał wyboru, musiał pozostać w którymś z mijanych dworów. Tam znaleźli go Moskale regularnie przeczesujący majątki i wsie w poszukiwaniu powstańców. Nie dali oczywiście wiary jego zapewnieniom, że nie ma nic wspólnego z „buntownikami”. Osadzony został w więzieniu i poddany długiemu śledztwu. Opowiadał później, że skonfrontowano go z pewnym chłopem, który też walczył w partii księdza Mackiewicza i został schwytany. Gorliwie starał się zasłużyć na zwolnienie i bez większych, jak się zdaje, skrupułów wydawał towarzyszy z oddziału. Przerażony Teodor był pewien, że to koniec, że chłop wyda i jego. Ten tymczasem przyglądał się mu obojętnie. „Nie, rzekł po dłuższej chwili, tego nie znam, z nim razem nie walczyłem”. Po tej deklaracji Rosjanie zakończyli śledztwo i wypuścili Teodora z więzienia. Jakiś czas potem spotkał chłopca, któremu zawdzięczał wolność. Kiedy zapytał, dlaczego go nie wydał, ten zdumiał się niepomierne. „Jakże ja mógłbym wydać swego dobroczyńcę. Czy panicz nie pamięta, jak kiedyś, jesienią, padał deszcz, błoto było okrutne, a ja miałem nogi tak pokaleczone i obolałe, że już iść nie mogłem piechotą. Wówczas panicz zsiadł ze swego konia i mnie na niego posadził, a sam szedł obok tą trudną drogą”.

Kilka lat po uwolnieniu udało się Teodorowi zrobić maturę i dostać na studia do Instytutu Technologicznego w Petersburgu. Po ich ukończeniu zaczął pracować jako technik-inżynier w Serebryńcach. Kiedy zaś zamie-

rzał wybrać się do Libawy na letni odpoczynek, siostra jego szwagra poprosiła go, żeby koniecznie odwiedził tam jej serdeczną przyjaciółkę, którą poznała dawno temu w Tobolsku na Syberii, gdzie obie znalazły się po powstaniu styczniowym. Prośbie tej nie mógł odmówić i tak właśnie poznał panią Wilhelminę Rymkiewiczową, wdowę po Teodorze, i jej córkę Stanisławę. Mieszkały w Libawie na stałe we własnym dużym domu. Przeprowadziły się tam w 1877 roku z Warszawy, w której Wilhelmina wraz z trójką nastoletnich dzieci: Aleksandrem, Stanisławą i Adolfem, spędziła osiem lat po powrocie z Syberii. Jej mąż zmarł na zesłaniu w Tobolsku.

Kiedy Stanisława poznała Teodora, była już zaręczona z pewnym inżynierem. Zakochana zdecydowała się jednak, ku niezadowoleniu rodziny, zaręczyny zerwać. Po ślubie opuściła wraz z mężem kurort libawski. Przenieśli się na południe Imperium, do Serebryńców. Wspaniała wyprawa ślubna Stanisławy, ukochanej jeźdźniczki, zapakowana została do kufrów i wraz z meblami wysłana do nowego domu.

SREBRYŃCE

Wszystko wskazywało na to, że czeka ich tam życie spokojne i stabilne. Jedyne poważniejszy mankament stanowiło sąsiedztwo – do zabudowań fabryki przylegał majątek ziemski Serebryńce. Skonfiskowany przez rząd carski polskiemu właścicielowi po powstaniu styczni-

wym przypadł w udziale jakiemuś rosyjskiemu generałowi w nagrodę za specjalne zasługi położone w tłumieniu polskiego „buntu”. Fabryka nie utrzymywała jednak z majątkiem żadnych kontaktów, więc problem sąsiedztwa praktycznie nie był zbyt dolegliwy.

Pierwszy rok pobytu w Serebryńcach zdawał się potwierdzać nadzieje na sielskie życie. W drugim roku jednak dwaj wspólnicy Teodora po cichu i bez jego wiedzy zaciągnęli długi, zabrali z kasy całą gotówkę i zniknęli (nigdy ich zresztą nie odnaleziono). Młode małżeństwo stanęło w obliczu materialnej ruiny. Teodor sprzedał fabrykę, spłacił najpilniejsze wierzytelności. Kwestię długów uregulował honorowo. Teraz musiał znaleźć pracę. Późną jesienią 1882 roku postanowił szukać posady w Kijowie. Stanisława nie wyobrażała sobie oczywiście, że może jechać bez niej. Spodziewali się już zresztą pierwszego dziecka. Podjęli więc decyzję – likwidując mieszkanie w Serebryńcach i przenosząc się do Kijowa. O tej porze roku rozmokłe ukraińskie drogi były jednak praktycznie nieprzejezdne. O wyruszeniu w drogę z całym dobytkiem nie mogło być mowy. Zresztą, po co brać mnóstwo ciężkich bagaży, skoro w Kijowie nie mieli żadnego mieszkania, a Teodor nie wiedział jeszcze gdzie i czy w ogóle otrzyma posadę. Stanisława postanowiła zatem wziąć ze sobą tylko drobne, wartościowe przedmioty, kosztowności, biżuterię i srebra, które w razie potrzeby łatwo można byłoby spieniężyć. Gdzie jednak przechować resztę dobytku? Niespodziewanie z pomocą przyszedł sąsiad, ów rosyjski generał, właściciel Serebryńców. Zaproponował, żeby zostawili meble, kufry i większy bagaż w kilku wolnych pokojach

jego pałacu. Miejsca jest dość. Cóż mieli robić? Przyjęli propozycję. Meble, fortepian i spakowane rzeczy przeniesiono do pałacu, ulokowano w pokojach, każdy pokój zamknięto na klucz. Stanisława i Teodor zabrali klucze i wyjechali do Kijowa.

Posadę Teodor otrzymał na szczęście natychmiast. Dzięki rekomendacji przyjaciół ze studiów w Instytucie Technologicznym został inżynierem w prywatnej kolei południowo-zachodniej. Wynajęli ze Stanisławą niewielkie mieszkanie, więc w grudniu, kiedy drogi stały się przejezdne, postanowili sprowadzić pozostawione w Serebryńcach rzeczy. Teodor nie mógł opuścić pracy, Stanisława więc, w siódmym miesiącu ciąży, wzięła klucze i pojechała sama. Dotarła bezpiecznie koleją do stacji niedaleko majątku. Do przebycia pozostawał jeszcze niewielki odcinek od stacji do dworu. Na szczęście znajomy Żyd, dzierżawiący coś w dobrach generała, zaoferował jej swoją pomoc. Zajechał powozem na stację, ona wsiadła, ruszyli. Od razu zapytała o nowiny. Żyd zaczął opowiadać. Im dłużej mówił, tym bardziej Stanisława nie mogła uwierzyć własnym uszom. Z kozła dochodził ją melancholijny głos beznamytnie informujący, że ledwie Rodowiczowie zniknęli z Serebryńców, generał kazał ślusarzowi otworzyć pokoje, w których przed wyjazdem złożyli cały dobytek. Meble polecił poustawiać we własnych apartamentach, wnikliwie przejrzał zawartość kufrów. Tak się bowiem złożyło, że wydawał właśnie za męża córkę i potrzebował dla niej wyprawy. Zawartość skrzyń Stanisławy spadała mu zatem jakby prosto z nieba. W uroczysty dzień panna młoda szła więc do cerkwi w sukni ślubnej znale-

zionej w jednym z pozostawionych przez Rodowiczów kufrów.

Kiedy Żyd skończył relację, oniemiała Stanisława nie miała już czasu, by wytłumaczyć mu, że nie powinien tak bezlitośnie żartować z kobiety w zaawansowanej ciąży, która przebyła daleką i uciążliwą drogę. Zajechali właśnie przed dwór w Serebryńcach. Cóż, szybko się okazało, że Żyd nie kłamał. Słyszając żądanie Stanisławy wydania pozostawionych na przechowanie rzeczy, generał zrobił bardzo zdziwioną minę. Skoro meble, fortepian i w ogóle wszystko, co zostawili, znalazło się w jego mieszkaniu, stało się jego własnością. Czyż to nie naturalne? Z wyrazu twarzy generała jednoznacznie wynikało, że dla niego kwestia ta jest najzupełniej oczywista, a postawione pytanie jak najbardziej retoryczne. Na nic zdały się tłumaczenia Stanisławy poparte okazywaniem kluczy do pustych już teraz pokoi. Cały dobytek Rodowiczów poszerzył więc zasoby materialne generała i jego rodziny, którzy gwałtownie protestowali teraz przeciwko jakiejkolwiek zmianie tego stanu rzeczy. Wzburzona Stanisława, spostrzegłszy haftowane przez jej matkę dwa święte obrazy, zawieszane na ścianach salonu, w którym została przyjęta, zdjęła je – nie mogła znieść myśli, że miałyby zostać w tym domu, wśród tych ludzi. Do czekającego na nią w Kijowie męża wróciła tylko z tymi skromnymi pamiątkami. O podaniu sprawy do sądu nawet nie myśleli, nie mieli szans na wygraną w procesie z generałem zasłużonym w tłumieniu powstania. Musieli zacząć życie zupełnie od nowa.

W KIJOWIE

Kijów ostatniej ćwierci XIX wieku wciąż jeszcze był lichym, prowincjonalnym miastem. Pomiędzy drewnianymi domkami stojącymi przy niebrukowanych, pokrytych kurzem i błotem ulicach z rzadka tylko można było napotkać budynki murowane. Rosjanie, Polacy i Niemcy żyli w odizolowanych od siebie społecznościach, jakby wysepkach w morzu ludności rusińskiej. Rzeka życia płynęła sennie i leniwie, przyspieszając nurt jedynie w okolicach uniwersytetu, szkół i kilku instytucji rządowych. Miasto zatem prezentowało się nieszczególnie, a ożywiało jedynie w lutym, kiedy na targi kijowskie zjeżdżały rzesze przedsiębiorczych obywateli z branż rolniczej, handlowej i przemysłowej wraz z żądną rozrywki młodzieżą.

Błyskotliwy, iście amerykański rozwój Kijowa rozpoczął się na przełomie wieków. W ciągu dwudziestu lat miasto zmieniło się nie do poznania. Podjęto prace porządkujące jego układ przestrzenny. Wzdłuż splantowanych i wybrukowanych ulic wyrosły ogromne domy. Zasiedlało je wielu cudzoziemców, głównie Polaków – kupców, przemysłowców, techników, którzy otwierali tu swoje firmy. Kijów stał się bogatym miastem europejskim, centrum rolniczych, handlowych i przemysłowych interesów całego południa i zachodu Rosji. Przed wybuchem wojny światowej osiągnął liczbę sześciuset tysięcy mieszkańców, wśród których Polacy stanowili znaczną część.

W Kijowie przyszli na świat trzej synowie i córka Teodora i Stanisławy Rodowiczów – Stanisław (przyszły właściciel domu przy ul. Fortecznej 4 w Warszawie), Kazimierz, Władysław i Zofia.

Zainteresowania wszystkich trzech braci od najmłodszych właściwie lat krążyły wokół wszystkiego, co związane było z techniką. Nieustannie konstruowali coś z drewna, metalu lub tektury. Teodor, sam inżynier, troskliwie dbał o to, by rozwijali swoje pasje. W pokoju chłopców we wzorowym porządku wisiały na desce zestawy narzędzi – prezent od ojca dla każdego z synów. Gdy nieco podrośli, dokupił im jeszcze niewielką tokarkę oraz tzw. dynamomaszynę – prądnicę wytwarzającą prąd stały o słabym napięciu, dzięki której mogli przeprowadzać różne doświadczenia elektryczne. Do tego każdy z chłopców miał aparat fotograficzny, a klisze i odbitki wykonywali we własnym laboratorium. Ich młodszej siostrze Zofii szczególnie utkwiał w pamięci wykonany przez nich kunsztowny model żaglowca. Każdy detal konstrukcji i wyposażenia wykonali bardzo precyzyjnie. Wnętrze oświetlały żaróweczki zasilane prądem z dynamomaszyny. Od siostry pożyczyli pasażerów – malutkie lalecзки, które zasiadały na wykonanych przez nich mebelkach.

Wszyscy trzej uczęszczali do II gimnazjum rosyjskiego. Stanisław ukończył je w 1901 roku ze srebrnym medalem za wyniki i rozpoczął studia na kijowskiej politechnice. Cztery lata później Imperium Rosyjskie ogarnęły rozruchy rewolucyjne. Z żądaniami występowali gwałtownie także studenci na uniwersytetach. W Kijowie oczywiście również wybuchły zamieszki.

Na ulicach strzelano, szarżę kozaków z nahajkami rozbijały demonstracje. Zosia zapamiętała, jak pewnego dnia Stach przybiegł po nią do gimnazjum, nie mogła przecież wracać samotnie ze szkoły. Przemykali biegiem pod ścianami budynków, żeby bezpiecznie dotrzeć do domu.

Odpowiedzią rządu rosyjskiego na demonstracje studentów było zamknięcie na nieokreślony czas wszystkich uczelni. Stach (i także już studiujący jego brat Kazik) stanęli wobec nie wiadomo jak długiej perspektywy bezczynności. Jedynym sensownym wyjściem w tej sytuacji był wyjazd za granicę i podjęcie studiów w Niemczech. Obaj uzyskali zgodę rodziców i w 1906 roku wyjechali z grupą kolegów i przyjaciół do Karlsruhe, by kontynuować naukę na tamtejszej politechnice. Stach w ciągu półtora roku uzupełnił i pozaliczał przedmioty wymagane innym programem studiów i już w 1907 roku otrzymał tytuł inżyniera technologa. Duży wyczyn, skoro egzaminy półdyplomowe i dyplomowe musiał zdawać posługując się terminologią fachową w języku niemieckim. Rok następny wypełniła mu służba wojskowa w formacjach saperskich armii rosyjskiej, po czym powrócił do Kijowa i podjął pracę w dziale technicznym dyrekcji kolei.

Często odwiedzał wtedy razem z Zosią dom generałostwa Świdzińskich. Przyczyną tych wizyt była córka generała Marychna. Stach poznał ją w Krakowie podczas podróży na studia do Niemiec. Teraz, po powrocie, postanowił znajomość odświeżyć i zakochał się po uszy. Zaręczyli się w 1908 roku. „Marychna była bardzo piękną brunetką o smagłej cerze, kruczych włosach

i czarnych oczach promiennych jak gwiazdy, a przy tym twarz jej miała wyraz niezwyklej dobroci i ogromnego uduchowienia” – wspominała ukochaną brata i zarazem swoją wielką przyjaciółkę najmłodsza z rodzeństwa, Zofia.

Obie rodziny tak przypadły sobie do gustu, że wszelkie święta spędzały razem. Zofii zapadła w pamięć wigilia 1908 roku: „Ogromny stół, nakryty śnieżnobiałym obrusem, a pod nim trochę siana dla tradycji żłóbka. Śliczna zastawa i potrawy wigilijne, a więc barszcz z uszkami, śledzie i różne ryby na zakąskę, potem ryby w rozmaitej postaci gotowane i smażone, do tego sałatki i kapusta z grzybkami, a na deser kompot z suszonych owoców, kisiel żurawinowy i łamańce z makiem. Do tego dobre wina, likiery i czarna kawa lub herbata, podane później z ciastami domowego wypieku, z nieodzownym makownikiem”. Wieczерzę poprzedzało oczywiście łamanie się opłatkiem i wzajemne składanie życzeń. To była chyba najbardziej uroczysta chwila. Po wieczerzy przeszli do salonu. Pod rozjarzoną świeczkami choinką czekały prezenty dla wszystkich domowników i gości. Wieczór wigilijny zakończyli wspólnym kolędowaniem.

W lecie 1909 roku Stanisław i Marychna się pobraли. W następnym roku w Kijowie przyszedł na świat ich pierwszy syn – Stanisław, dwa lata później drugi – Kazimierz, a w 1916 roku – Władysław.

REWOLUCJA I WOJNA

Mimo że od 1914 roku trwała I wojna światowa, życie Rodowiczów biegło w miarę zwyczajnie, wypadki wojenne toczyły się daleko od nich. Nastął koniec września 1917 roku. Teodor od dłuższego czasu chorował na serce. Teraz, w czasie wojny, bardzo się przepracowywał, nie brał urlopów, musiał osobiście doglądać prac wodociągowych na niszczonej wojną kolei. Pewnego wrześniowego wieczora siedział przy biurku i pisał list do swojej siostry Natalii. Skończył pisać i zorientował się, że nie ma znaczka pocztowego. Zakrzyknął więc przez otwarte drzwi w kierunku pokoju, w którym siedziała żona, pytając, czy może ona ma jakieś. Stanisława wstała, podeszła do siedzącego przy biurku męża. On oparł głowę o jej ramię i zmarł. Wdowa zamieszkała u Stacha i Marychny.

Kilka dni po pogrzebie Teodora Rosją wstrząsnęła rewolucja bolszewicka. Kraj ogarnęła dzika przemoc i chaos. Kijów przechodził z rąk do rąk. Tuż po wybuchu rewolucji Ukraińcy ogłosili powstanie niepodległej Ukraińskiej Republiki Ludowej. W lutym 1918 roku miasto zajęli bolszewicy, którzy w następnym miesiącu wypędzeni zostali przez oddziały niemieckie formalnie wspierające nowo powstałą republikę. W marcu 1919 na pół roku powrócili Sowieci, wyparci znów 31 sierpnia przez wojska ukraińskie atamana Semena Petlury. Ten z kolei niemal następnego dnia musiał uchodzić przed białą armią rosyjską Antona Iwanowicza Denikina.

W grudniu 1919 roku Kijów ponownie zajęli bolszewicy i utrzymali miasto do podjętej w kwietniu następnego roku ofensywy polskiej.

Od sierpnia 1917 roku do marca 1918 roku przebywał w Kijowie prof. Julian Talko-Hryncewicz. Po latach wspominał w pamiętnikach:

„W samym Kijowie w początkach nie odczuwaliliśmy niepokoju, natomiast ze wsi nadchodziły wieści o mordach i pożogach. Ziemianie ściągają ze służbą do miasta, jak za czasów hajdamaczyzny. Jadą tam furgony z nieruchomością, pędzą żywy inwentarz. Grabieże i mordy po dworach na porządku dziennym”.

Spokój w mieście nie trwał jednak długo. Już w styczniu 1918 roku rozpoczęły się walki Ukraińców z bolszewikami, którzy ostatecznie miasto zajęli.

„Najcięższe chwile przeżywaliśmy w lutym. Czas ten przypadł na dziesięciodniowe oblężenie Kijowa przez bolszewików. Ostrzeliwano miasto z dwóch stron, ze wzgórz przyległych i zza Dniepru. Ulica Lwowska z wysokimi domami, opuszczająca się dosyć stromo aż do [tzw.] żydowskiego rynku, była najbardziej narażoną na nieustanne niebezpieczeństwo z powodu latających z obu stron kul i wybuchających z wielkim hukiem i trzaskiem bomb. Okna naszego domu, szczególnie od ulicy, wszystkie były rozbite, natomiast od strony naszego pokoju z widokiem na Dniepr, ocalały. Przez dni kilkanaście nie wychodziliśmy z domu, chroniąc się w dzień, a niekiedy i nocując, współ z innymi sąsiadami w ciemnym korytarzu bez okien, gdzie było bezpieczniej. Od czasu do czasu młodszy i odważniejsi, nie zwracając uwagi na latające kule, puszczały się na wywiady

do miasta dla zasięgnięcia wiadomości i zakupu żywności dla całego pensjonatu. Dowiadywaliśmy się od nich zwykle o zaszłych wypadkach, ile jest zniszczonych domów i ilu zabitych. W dzień, pomimo huku strzałów i wylatujących z trzaskiem potłuczonych szyb, czuło się rażniej, niż w nocy przy oknach oświetlonych łuną pożarów płonących domów”.

„Strzelanina zaczęła ucichać. Z miasta przynoszą radosną wiadomość, w którą na razie nie chcieliśmy wierzyć, że bombardowanie na godzin kilka zawieszono, ponieważ parlamentarzyści miejscy udali się na most kolejowy dla układów o poddanie miasta. Dzień przeszedł spokojnie. Jeszcze większa radość zapanowała wieczorem, kiedy zabłysła elektryczność i pojawiła się woda w wodociągach. (...). Każdy z przeżywających te pełne grozy dni w Kijowie, opowiadał o różnych tragicznych scenach, jakich był świadkiem. Bolszewicy, bombardujący miasto, oświetlając reflektorami, celowali przeważnie do gmachów instytucji rządowych, lub do domów bardziej znanych osobistości. Dni następujących na ulicach zapanował ruch znaczny. Wojsko zwycięskie przeciągało po mieście. Prowadzono na egzekucję tysiące osób jako kontrrewolucjonistów i burżujów. Na czele bandy bolszewickiej wkroczył do Kijowa jako wódz pułkownik Murawjew, b. komisarz cyrkułu policyjnego petersburskiego za czasów caratu, znany łapownik i pijak. Ten krwiożerca w czasie swego trzytygodniowego rządzenia, wydając wyroki, zamordował mnóstwo ludzi, będąc panem życia i śmierci każdego”.

„Nastąpiły masowe rozstrzeliwania. Miejscem kaźni był [tzw.] ogród carski i pałac w Lipkach zajęty przez

bolszewików. Chwymano każdego podejrzanego o to, że służył w armii carskiej, miał kokardę na czapce, oficerskie lub generalskie epolety, i prowadzono do ogrodu carskiego. Wszyscy wiedzieli, co to znaczy. Nie wiadomo ile zginęło cywilnych i żołnierzy. W ciągu trzech tygodni rozstrzelano samych oficerów około trzech tysięcy, a w tej liczbie ze stu generałów. Kabarety, kawiarnie, restauracje i hotele pełne były pijanych oficerów bolszewickich i towarzyszących im dam z półświatka. Bolszewicy z zasady za nic nie płacili. Skandale, bójki były na porządku dziennym. Stosunki stawały się nie do zniesienia, bandytyzm, napady i wszelkie oszustwa doszły do przerażających rozmiarów. Cała ludność oczekiwała przyjscia wybawcy, nie wchodząc w to, kto nim będzie, Prusak, Austryjak czy generał carski, byle nastąpił możliwy spokój i ład. Rozeszły się pogłoski, że przywódcy Ukraińscy: Hruszewski, Winniczenko i Petlura, uciekwszy po wejściu bolszewików ze swym wojskiem, przyjdą ponownie na odsiecz z wojskami niemieckimi. Słuchaliśmy tych wieści z niedowierzaniem”.

„Tymczasem bolszewicy [dotkliwie ograbiwszy miasto] zaczęli przygotowywać się do odwrotu. Pierwszy uciekł Murawjew, a za nim w samochodach inni. Wieczorem tegoż dnia już na odjezdnem znana agitatorka, pani Kołłatajowa, stojąc w samochodzie na ulicy, otoczona tłumem słuchaczy, wygłaszała swe wojownicze mowy, wygrażając pięściami burżujom, a w pół godziny potem, tym samym samochodem lotem błyskawicy umykała z miasta. Narzekaniom i przekleństwom na uciekających bandytów nie było końca. Nazajutrz, ku radości wszystkich mieszkańców Kijowa, po trzech-

godniowej gościnie bolszewickiej, ujrzano na ulicach kroczące pułki saskie, za nimi szła armia Petlury z powracającymi uroczyście Hruszewskim i Winniczenką. Oddziały ukraińskie nowo wyekwipowane przez Niemców, przybrane były w sine świtki, wysokie baranie czapki ze srebrnymi gwiazdami, w szerokie szarawary z żółtymi lampasami i wysokie lakierowane buty. Niosły one sztandary państwa ukraińskiego o barwie błękitno-żółtej. (...). Pojawienie się wojska niemieckiego na ulicach Kijowa było dla mieszkańców nieoczekiwanym zjawiskiem, choć wielka wojna przyuczyła ludność do wszelkich niespodzianek. Z rozpostartymi rękami witano Niemców, jako wybawicieli z niewoli. Na placu Sofijskim, na którym odbywała się defilada wojsk, widziałem, jak panie zarzucały Niemców kwiatami, ofiarowały oficerom bukiety, a nawet w entuzjazmie klękały przed nimi. Powstały teraz dwie władze: niemiecka wszechwładna i ukraińska tolerowana, spierające się z sobą o pierwszeństwo. Ukraińcy znający wszystkie gmachy publiczne, zajęli lepsze dla siebie, lecz niebawem zostali z nich wyrzuceni przez Niemców, którzy swą mocną pięść położyli na wszystkim, starając się zapanować nad bezładem i chaosem, zaprowadzonym przez bolszewików i Ukraińców. Ludność była zadowolona, bo mogła swobodniej odetchnąć. Szczególnie z wielką wdzięcznością przyjęto rozporządzenie natychmiastowego usunięcia z miasta i dworca kolejowego nagromadzonych nieczystości i gruzów. W kilka dni dworzec kolejowy oczyszczono z brudu i niechlujstwa, obstawiono go wartą niemiecką pilnującą porządku, porobiono napisy itd. Po parutygodniowych walkach z nie-

sfornym i rozwyrzałym żywiołem ukraińskim Niemcy zaprowadzili na ulicach i w miejscach publicznych ład i porządek”.

Stanisław Rodowicz musiał utrzymać w wybiedzonym mieście żonę, trzech synków, swoją mamę i bonę. Na wiosnę 1918 roku zmarł generał Świdziński, ojciec Marychny. Jej mama zatem także zamieszkała u Rodowiczów. Mieszkanie było wyiębione, centralne ogrzewanie zepsute, ratowali się ustawionymi w pokojach żelaznymi piecykami, w których palili starymi stołkami i półkami.

ODCIĘTY

Kiedy na jesieni Polska odzyskała niepodległość, Stanisław jako inżynier kolejowy pomagał w organizowaniu transportów repatriantów do kraju. Na początku lutego 1919 roku wybuchła wojna z sowiecką Rosją, rozmowy pokojowe zostały zerwane, a armie bolszewickie rozpoczęły ofensywę. Przebywający w Warszawie Stanisław został odcięty od rodziny w Kijowie. Pozostawione bez środków do życia Marychna z synkami, jej mama oraz generałowa Świdzińska i bona chłopców, panna Sabina, musiały sobie jakoś radzić. Ze starych sukien szyły fartuchy i spódnice, które panna Sabina usiłowała wymieniać na żywność z chłopami na targu. To jednak nie wystarczało. Życie w Kijowie stało się bardzo ciężkie. W Warszawie Stanisław pilnie nasłuchiwał wieści

z frontu i szukał okazji przedostania się do najbliższych. Ta jednak nadarzyła się dopiero w roku następnym, kiedy Piłsudski podjął wyprawę na Kijów.

Ofensywa polska ruszyła 25 kwietnia 1920 roku. Dwa dni później 3 Armia zatrzymała się w odległości dwóch dni marszu od Kijowa. Ze względów operacyjnych i organizacyjnych działania zostały przerwane na dziesięć dni. Wódz Naczelny nakazał przygotować atak na miasto na siódmego maja. Jedną z przyczyn opóźnienia była konieczność udrożnienia ruchu kolejowego między Ukrainą i Polską. Stanisław, jako szef sekcji kolejowej 3 Armii, miał więc ręce pełne roboty. Każdy dzień zwłoki oznaczał jednak przedłużenie bolesnego niepokoju o los pozostających w obleganym mieście najbliższych.

Siódmego maja rano wojska polskie weszły bez strzału do opuszczonego przez bolszewików Kijowa. Stanisław mógł się pojawić tam dopiero następnego dnia.

Popędził do rodzinnego domu, chciał jak najszybciej zobaczyć żonę i synów, jak najszybciej zapewnić im bezpieczeństwo. Nie zobaczył już jednak Marychny. Wycieńczona głodem i zimnem, przejęta troską o znalezienie jedzenia dla synów w pozbawionym żywności mieście, zapadła na gruźlicę, która powaliła ją błyskawicznie. Zmarła jeszcze przed początkiem polskiej ofensywy, 12 kwietnia 1920 roku. Stanisław spóźnił się o niecały miesiąc...

Ogłuszony wiadomością nie miał czasu na opłakiwanie żony. Sytuacja na froncie była niepewna, 26 maja bolszewicy rozpoczęli na Ukrainie kontrofensywę. Musiał ratować rodzinę. Wsadził do towarowego wagonu kolejowego matkę swoją, matkę zmarłej żony generałową

Świdzińską, swoich trzech synów wraz z opiekunką, dał trochę niezbędnych mebli, sprzętów, książek i wyruszyli do Polski. Dojechali szczęśliwie. Mama jego zmarłej żony zamieszkała u swojego syna. Ponieważ w czasie pobytów w Warszawie Stanisław zajmował tylko małą łutkę pokoik, tymczasowo musiał ulokować swoją mamę i synów u znajomych w Kaliszu. Przywiózł zatem rodzinę do Polski, ale zamieszkać z najbliższymi mógł jednak dopiero po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej.

ŻOLIBORZ

W 1921 roku powstało w Warszawie Mieszkaniowo-Budowlane Stowarzyszenie Spółdzielcze Oficerów. Zarząd miasta przyznał spółdzielni pod budowę tereny na północy Warszawy, na Żoliborzu. Na miejscu zbudowanego po powstaniu listopadowym przez Rosjan systemu fortyfikacyjnego Cytadeli powstać miało osiedle mieszkaniowe nawiązujące do idei istniejących w Europie Zachodniej miast ogrodów. Domy i układ przestrzenny projektowali najlepsi architekci warszawscy okresu międzywojennego: Antoni Jawornicki, Józef Jankowski, Romuald Gutt, Rudolf Świerczyński, Tadeusz Tołwiński, Kazimierz Tołłoczko. Podmiejski obszar, administracyjnie włączony przez Niemców w obręb Wielkiej Warszawy w 1916 roku, był praktycznie niezabudowany. Żoliborz dopiero powstawał, znajdował się faktycznie poza miastem. (Mieszkańcy dzielnicy mie-

li zresztą poczucie odrębności. „Mówiło się «jadę do miasta», to znaczy do Warszawy, «w Warszawie mówią, że...» . Kiedyś usłyszałem urywek rozmowy: «Pan mieszka w Warszawie? – Nie, na Żoliborzu»” – wspominał po latach Władysław Rodowicz, najmłodszy z synów Stanisława). Jeszcze w wydany w 1937 roku *Przewodniku po Warszawie* Mieczysława Orłowicza można było przeczytać, że „dzielnica ta nie jest jeszcze nawet w połowie zabudowaną, wszędzie widzi się sporo pustych placów. Szerokie nowoczesne ulice powstały tu na polach i pastwiskach podmiejskich, wśród nich widać jeszcze nierozebrałe wały i mury dawnych fortów rosyjskich”. Przy ulicy Czarnieckiego na przykład nie rosło wtedy ani jedno drzewo. Dwa rzędy lip, które dziś stanowią o jej niepowtarzalnym uroku, posadzono dopiero w 1925 roku.

Rok wcześniej mały Władek Rodowicz przyglądał się na dzisiejszym placu Słonecznym wsadzaniu dwumetrowego „patyka” – w zamierzeniu mającego być wskazówką największego w Warszawie zegara słonecznego. Również taką rolę bowiem wyznaczył placowi, zwanemu wtedy Okrągłakiem lub Rondem, architekt. Cień rzucany przez wysoką, smukłą topolę na jeden z dwunastu okalających rondo domków wskazywać miał godzinę. Ostatecznie jednak domów powstało dziesięć – część z nich była teraz zniszczona – a posadzone drzewo okazało się klonem srebrzystym, nie topolą. Dziś, bardzo już rozrośnięte, dominuje nad rondem.

Stanisław jako wojskowy został członkiem Stowarzyszenia i nabył parcelę pod budowę domu jednorodzinnego przy ulicy Fortecznej 4. Nareszcie mógł spro-

wadzić z Kalisza mamę i trzech synów. Budowa osiedla dopiero się rozpoczynała, zamieszkali więc tymczasowo w udostępnionym przez znajomego oficera pięciopokojowym mieszkaniu przy ulicy Śmiałej, kilka kroków od ulicy Fortecznej. Znow wszyscy byli razem.

Trzej bracia zajęli jeden wspólny pokój, w którym musieli utrzymać porządek. „Nie wolno było rozrzucać ubrań, należało ułożyć je na krześle przed pójściem spać. Każdy był obowiązany trzymać swoje rzeczy w miejscach na nie przeznaczonych, po zabawie odłożyć gdzie trzeba. Czyszczenie butów również było naszym obowiązkiem. Pamiętam jak Kazik uczył mnie pastować i jak za pierwszym razem umorusałem sobie ręce pastą. Gdy przyjęta została służąca, wyraźnie było powiedziane, że jest pomocą Babci, a nie nam do usługiwania. Byliśmy przyuczani do wykonywania różnych czynności domowych w zależności od wieku i nie przypominam sobie żadnych niemiłych aspektów tego wychowywania” – wspominał Władysław. Bardzo podobne zasady panowały zresztą w domu Teodora i Stanisławy w Kijowie.

Prace budowlane przy Fortecznej 4 – domy przy tej ulicy projektował zresztą wybitny architekt Rudolf Świerczyński – posuwały się szybko. Kiedy zimą 1922/23 Stanisław wybrał się ze swoim najmłodszym synem Władkiem obejrzeć ich postęp, między fundamentami dostrzegli kicającego zajęcia. Zgodnie uznali, że to dobry znak. Wkrótce rodzina wprowadziła się do niewykończonego jeszcze domu. Na Fortecznej zamieszkali w pięcioro – babcia Stanisława i Stanisław z trzema synami. „Proszę sobie wyobrazić, że zjechaliśmy do domu,

w którym jeszcze nie było zupełnie drzwi, ani wejściowych, ani między pokojami, i w którym cały dzień robotnicy wszelkiego rodzaju od 8mej rano do 5tej po południu pracowali. Mamusia ze Stasiem ulokowani w jednym pokoju na poddaszu, do którego drzwi dopasowali na kilka chwil przed przyjazdem. Kuchnia bez okien i z majstrami. Służby dostać nie było sposobu – bo nikt nie chce za miastem służyć – bo to za daleko. Dojazdu żadnego, gdyż rozkopane drogi kanalizacyjnymi robotami, a następnie przekładaniem kabli elektrycznych, a w ostatku przekładaniem wodociągów. – Dość, że Mamusia do miasta wyskakiwała tylko na zakup jedzenia i to na zmianę ze mną” – pisał Stanisław w liście do przyjaciół. Dwaj starsi synowie pomagali mu zresztą w pracach na posesji: wspólnie stawiali ogrodzenie, przekopywali ogród, sadzili drzewa owocowe. Budowę domu gwałtownie przerwał wybuch w Cytadeli.

STABILIZACJA

Stanisław zrezygnował już wtedy ze służby w wojsku. W 1923 roku rozpoczął intensywną pracę jako inżynier. „Należał do inicjatorów budowy linii kolejowej na Półwyspie Helskim. Przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego był rzeczoznawcą i doradcą w sprawach technicznych w ministerstwach, instytucjach państwowych i samorządowych, izbach przemysłowo-handlowych, fabrykach, udzielał konsultacji osobom

prywatnym, a także był biegłym sądowym. Wykonał szereg projektów w zakresie instalacji wodociągowych i kanalizacyjnych, wentylacyjnych, ogrzewczych i chłodniczych, m.in. dla gmachu Politechniki Warszawskiej, Banku Przemysłu Cukrowniczego, pałacu w Krzeszowicach i Głównego Dworca Poczтового w Warszawie. (...). W l. 1930–5 był R[odowicz] dyrektorem Komitetu Chłodnictwa w Min. Przemysłu i Handlu. Zorganizował zespół fachowców z różnych dziedzin, który pod jego kierunkiem opracował plan sieci chłodniczej dla całego kraju. Projekt ten nie doczekał się realizacji. Był R[odowicz] członkiem zarządu Sodalicii Mariańskiej inteligencji warszawskiej. Brał udział w organizowaniu się pierwszej na Żoliborzu w Warszawie parafii św. Stanisława Kostki. Zaprojektował dla tej parafii prowizoryczną kaplicę, prowadził jej budowę, a następnie był wiceprzewodniczącym komitetu budowy kościoła. Zaprojektował też instalacje centralnego ogrzewania dla części budynków Zakładu dla Niewidomych w Laskach koło Warszawy. (...). Był w l. 1929–32 prezesem Stowarzyszenia Techników Polskich (STP), ale we władzach i w poszczególnych komórkach tego stowarzyszenia działał przez cały okres międzywojenny” – informuje zwięźle Polski Słownik Biograficzny.

Po przeprowadzce do Warszawy Stach i Kazik podjęli naukę w gimnazjum humanistycznym im. Adama Mickiewicza. Władek dołączył do nich dwa lata później. Gimnazjum mieściło się przy ulicy Sewerynowek 4, obecnie Konopczyńskiego, bocznej do ulicy Kopernika. Budynek szkoły, najnowocześniejszy w tym czasie w Warszawie, oddany został do użytku w 1913 roku. „Był

typową budowlą w stylu z początków wieku, z jasnymi przestronnymi klasami rozmieszczonymi na czterech kondygnacjach, połączonych ślimakiem klatki schodowej, oplatającą staromodną, secesyjną windę, z obszerną «salą aktową» i z ozdobną wieżyczką mieszczącą obserwatorium astronomiczne” – wspominał uczeń szkoły Ryszard Matuszewski. „W latach 1927-1932 z okien gmachu gimnazjum rozpościerał się szeroki widok na dachy Powiśla i Pragę. Na pierwszym planie, tuż pod oknami szkoły, był stary, wiosną kwitnący sad, a obok niego, naprzeciw wejścia do gmachu, za drewnianym płotem, mieliśmy szkolne boisko. Na jego krańcach teren gwałtownie się obniżał ku murom domów o frontach wychodzących na Tamkę i jeśli piłka staczała się do tego głębokiego parowu, trzeba było po nią zbiegać”.

Dziś autobus z przystanku plac Wilsona do przystanku Uniwersytet jedzie piętnaście minut. W latach dwudziestych XX wieku dotarcie z Żoliborza na Krakowskie Przedmieście trwało ponad godzinę. „Żoliborz jest bardzo skromnie wyposażony w dobre linie komunikacyjne. Z dzielnicami położonymi na południe od obwodowej linii kolejowej są obecnie trzy połączenia, z których zasadnicze znaczenie ma tylko jedna – ulicą Krajewskiego, Szymanowską i przepustem pod linią kolejową. Trakt ten służy dla wszystkich rodzajów pojazdów i dla linii tramwajowej. Jest to połączenie technicznie źle wykonane i niepewne, tak że często trafiają się tu przerwy w ruchu, trwające godzinami” – ubolewali jeszcze w 1937 roku autorzy *Informatora Żoliborskiego*.

Zajęcia w gimnazjum zaczynały się o godzinie ósmej, żeby na nie zdążyć, chłopcy wstawali o szóstej. Po wyj-

ściu z domu dochodzili ulicami Kaniowską, Śmiałą i Zajączka do niewielkiego lasku (mijali przy tym kolejkę wąskotorową z wagonikami załadowanymi skrzynkami z amunicją wywożoną do Palmir. Szyny biegły od składów Cytadeli, przez główną bramę, lasek, skręcały przed głównymi torami w prawo i dochodziły do bocznic kolejowej). Dochodzili do torów kolejowych, nad którymi dla pieszych postawiono żelazne schody i kładkę wychodzącą na uliczkę przed placem Broni, koło Dworca Gdańskiego (wiadukt nad torami zbudowany został dopiero w roku 1937). Tam znajdowała się końcowa stacja tramwajowa. Wsiadali w tramwaj, który mijał zajezdnię przy ulicy Inflanckiej, po czym jechał ulicą Sierakowską, przez plac Muranowski, Nalewkami, Bielańską do placu Teatralnego. Przed Teatrem Wielkim kończył bieg, zakręcając wokół skwerku. Stamtąd szli więc pieszo ulicą Wierzbową, przez plac Saski, Królewską, Krakowskim Przedmieściem do ulicy Kopernika i Sewerynowek. Kawał drogi.

SPARTA

Później, na studiach, wszyscy trzej bracia należeli, podobnie zresztą jak ich ojciec, do korporacji akademickiej „Sparta”, jedynej w okresie międzywojennym stowarzyszenia filistrów o charakterze harcerskim. „W wychowaniu swoich członków Sparta nawiązywała do haseł filareckich i filomackich młodzieży wileńskiej:

Ojczyzna, Nauka, Cnota. Ważnym celem Sparty była praca nad udoskonaleniem i umacnianiem charakterów swych członków w myśl wychowawczych zasad harcerskich. Konsekwencją tego był zakaz picia piwa i palenia papierosów na kwaterze oraz w czasie reprezentowania korporacji na zewnątrz” – pisze Bartłomiej Wróblewski, autor opracowania dotyczącego tej korporacji. Władysław, który został przyjęty do Koła Juniorów Sparty w 1934 roku, tak wspominał ten okres: „Nasz stosunek do tego, co nas otaczało był pełen radości i oczekiwania. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza pozycja w świecie i możliwość wpływania na dalsze losy Ojczyzny zależą od nas samych. Zależą od naszej wiedzy, którą chcemy zdobyć na studiach wyższych, ale w równej mierze zależą też od naszego charakteru, od zapanowania nad wadami narodowymi, które ułatwiły zaborcom podbój i rozbiory. Nie byliśmy ani sztywni, ani smutni. Przeciwnie: pełni radości i najlepszych myśli. Mieliśmy wiarę w przyszłość. Byliśmy mocni tym wewnętrznym przekonaniem, że w naszych rękach w jakimś stopniu leży przyszłość Ojczyzny. Trzeba tylko się dobrze przygotować. Trzeba ukończyć studia i dużo pracować nad sobą, aby te nadzieje urzeczywistnić”. Starano się zatem uczyć, jak wzniosłe hasła o potrzebie pracy nad sobą, uczciwości, prawości, punktualności wdrażać w życie codziennym. Wystarczyło na przykład spóźnić się na zebranie o minutę, aby otrzymać polecenie stawienia się na drugim końcu Warszawy w niedzielę o 6 rano we fraku. A tramwaj w Warszawie jeździł wówczas rzadko.